

Adam Wiaryga-Minieski.

## JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

29

— Jakbym chciała płacić drogo, tobym dała robotę do porządnej, fachowej krawczyni — powiedziała szorstko jedna z klientek, kiedy jej pani Dowgirdowa delikatnie zwróciła uwagę, że zaofiarowana cena jest zbyt niską.

Mimo tej biedy, mimo tych kłopotów, co jakiś czas wędrowały paczki do Tadeusza, pełne przysmaków. Pani Dowgirdowa tęskniła coraz mocniej za synem. Biednej matce zdawało się, że to nie złe odżywianie, nie braki codzienne podkopują jej zdrowie i niszczą siły, ale ta gryząca troska o jedynaka. Co z nim będzie? Co z nim będzie?... Może zmarnuje swoje młode życie, nie przynosząc Polsce żadnego pożytku. Wiadomą już stało się rzeczą, że Niemcy chcą rozbić Legiony. Droga do wolnej Polski zacięła się, gubiła w nieprzejrzanym mrocznym Rycerze Białego Orła stali na rozstaju, bezradni, dręczeni niepokojem i zwątpieniem, niepewni którędy iść.

Te wszystkie cierpienia ogólnonarodowe odczuwała głęboko matka Tadeusza, tem głębiej, tem silniej, tem dotkliwiej, że łączyły się one nierozdzielnie z losem jej syna.

I to jeszcze nie wszystko. Do serca, pełnego smutku i trwogi kroplami płaczu sączała się gorzka. Pani Dowgirdowa nie mogła się pozbyć żalu do syna za to, że mógł pokochać córkę Goldbauma. Przeczynała, domyślała się, iż stosunki między nim a Goldbaumówną nie są zerwane.

— Pewnie pisuje do tej wstrętnej żydowicy, może nawet częściej niż do mnie. — Na tę myśl głuchy gniew i dręcząca zazdrość wstrząsały nią.

Ileż widziała Janek, która rzadziej teraz zachodziła do niej i prawie nigdy nie wspominała już o Tadeuszu, wzdychała cicho. Dlaczego nie może tej słodkiej, słonecznej dziewczyny nazwać swoją córką? Dlaczego nie może marzyć z nią razem o szczęściu, co przyjdzie, kiedy on wróci, ani zwierzać się jej ze swej tęsknoty, ze swoich obaw i niepewności.

Gdyby nie ta matka, Tadek nie pozostałby na pewno obojętnym wobec Janek, takim było niezachwiane przekonanie pani Dowgirdowej.

To też kiedy przypadkiem na schodach lub na ulicy spotykała Różę, z łagodnych zwykle oczu strzelała błyskawica gniewu, a wargi zaciskały się wyrazem pogardy.

Dziewczyna widziała to i ze spuszczoną głową schodziła jej z drogi pokornie i lekliwie.

Gdyby to nie o Tadeusza chodziło, pewnieby dobra i wrażliwa z natury kobieta wzruszyła się pobladła, pociemniała twarzyczką Rózi i smutkiem malującym się w prześlicznych ciemnych oczach.

Ale uprzedzenie było zbyt silne. Pani Dowgirdowa tłumila odrazu mimowolne, łeciutkie drgnięcia współczucia, które czasem podstępnie zakradały się do jej serca. Było to na przykład wtedy, gdy dowiedziała się od jednej z sąsiadek, że u Goldbaumów dzieją się awantury, bo Róża nie chce nawet słyszeć o konkurencji, narzucanym jej przez rodziców.

— Podobno płacze po całych dniach — opowiadała sąsiadka — żal mi dziewczyny, bo to jakieś grzeczne, uprzejme i zdaje się dobre stworzenie.

— Ii... — skrzywiła się niechętnie pani Dowgirdowa — taka żydówka, jak i inne. Co to może być dobrego z takiego gniazda...

— No, różnie się trafia. A o tej Goldbaumównie mówią, że ona w jednym legionie strasznie zakochana i dlatego za innego wyjść nie chce... — opowiadająca rzuciła na matkę Tadeusza szybkie, ukośne spojrzenie.

Pani Dowgirdowa nie odpowiedziała nic, ale coś ją wewnętrznie zaniepokoiło.

— Czyżby naprawdę Tadek kochał? — przemknęło jej przez głowę. A ona sama niegdyś tak mocno, tak głęboko kochała, że umiała ocenić wartość prawdziwej miłości. Nie pozwoliła jednak sobie na rozczulenie.

— Choćby nawet tak było, dzieli ich wszystko. To musi być zerwane — zdecydowała twardo.

Tadek w ostatnich listach nadmieniał, że może uda mu się przyjechać na kilka dni.

Pani Dowgirdowa brnąc teraz w śniegu i drząc pod zimnymi podmuchami wiatru, myślała o tem, że dobrze byłoby wyprowadzić się przedtem z kamienicy Goldbauma. Tadek nie miałby tyle sposobności do spotykania Rózi.

— Tylko gdzie tu znaleźć mieszkanie i przeprowadzka tyle kosztuje... Boże! Boże! jakież to życie teraz ciężkie...

Dwie kobiety, otulone chustkami, mijając panią Dowgirdową, rozmawiały głośno:

— Moja pani, słyszała też pani co za wypadek... Ten stary, ten jakiś malarz, czy czem on tam był, co to mieszkał w naszym domu, umarł z głodu, z zimna...

— O Jezus! I nikt mu biedakowi nie pomógł? Możeby go kto tam i skrzepił, ale cóż kiedy hardy był i prosić nie chciał. Przed wojną to ta jeszcze jakoś ciągnął żywot, ale teraz zmarniał... Buty mu z nóg pospadały, odzienia nie miał, w piecu nie palił, jeść nie było co, to i położył się do łóżka i zmarł...

— Straszna śmierć!... Pewnie go biedaka na koszt gminy pochowają. Pójdzie pani na pogrzeb?

— Mam ja to czas, moja pani?

Dreszcz wstrząsnął panią Dowgirdową. Znała z widzenia tego, o kim kobiety mówiły. Dokładnie przypominała sobie wysoką, pochyloną, wynędzniałą postać wykolejonego artysty. Dziwnie ubrany w starym berecie, w zbyt krótkiej wyrudzałej pelerynie, w podarłych mesztach w lecie, w zniszczonych kaloszach zastępujących mu buty w zimie, włókł się ulicami wiecznie z obrazkiem jakimś pod pachą, wydęty schody kamienic, dzwoniąc do drzwi i ofiarując prace swoje na sprzedaż.

Pewnego razu zaszedł i do mieszkania Dowgirdów, powiedział swoje nazwisko ze spokojem i godnością, jak człowiek, który przychodzi w odwiedziny, równy do równych i zapytał, czyby nie kupiono jego obrazu, przedstawiającego Czarny Staw w Tatrach.

Pani Dowgirdowa kupić nie zamierzała, ale tknięta litością chciała wsunąć malarzowi koronę w rękę.

Nędzarz-artysta cofnął dłoń i wyprostował się dumnie.

— Przepraszam — rzekł — sprzedaję moje obrazy, ale jałmużny nie potrzebuję i nie przyjmę!

W opuszczeniu swoim, w nędzy ostatecznej miał jeszcze dumę i godność. To, co czynił było zamaskowaną żebranią, on jednak przyznać tego nie chciał sam przed sobą i nie znosił, aby mu to inni przypominali. Nie mógł zapomnieć, że niegdyś iwał się do górnego łotu, biedny stary ptak o połamanych skrzydłach.

A teraz taki koniec...

— Boże! daruj mi, że śmiem narzekać... Tylu nieszczęśliwszych jest odemnie!... — westchnęła pani Dowgirdowa i przeżegnała się pobożnie, mijając kościół.

Wiatr zerwał się silniejszy. Wionęło powietrzem takie lodowate tchnienie, jakby to nie wiosna już ale najsrozsza zima jeszcze była.

— Nie chce i nie chce przyjść wiosna! — skarżyła się jakaś kobiecina, stojąca w jednej z ostatnich par długiego „ogonka“, który ciągnął się prawie przez pół ulicy.

Pani Dowgirdowa zatrzymała się także.

— Za czem to stoją, proszę pani?

— A za słoniną.

— To u Burczykiewicza dzisiaj jest słonina?

— A jest tam trochę, pożal się Boże jaka!

Sama sól i skóra!... Co lepsze to już dawno Niemcom wywieźli, a my ochłapy żyć musimy i kielbasy z koniny!

— I tak drogo płac i proś się jeszcze człecz!

— Zato taki Burczykiewicz z biedaka panem stał się całą gębą! Dmie się, że o mało nie pęknie!

— Czy to on jeden? Inni nie lepsi, albo może i gorsi!

— Każdy drze jak może i gdzie może!... Taki już teraz świat! — padła uwaga, podyktowana praktyczną filozofią.

Pani Dowgirdowa namyślała się, czyby pomimo zimna nie zaczekać na swoją kolej w „ogonku“. Już od tygodnia przeszło musiała obywać się bez omasty, bo w mieście nagle słoniny „brakło“.

Tylko, że to przyjdzie stać długo, a nogi zziębnięte formalnie zeszytywały.

Kwestię rozstrzygnął ostatecznie i nieodwołalnie Irzask spuszczonej żelaznej żaluzji i towarzyszące mu wzburzone głosy:

— Niema już niemal!... Już nie sprzedają!

— Słonina „wyszła“.

— A bodaj z piekła nie wyszedł ten masarz cholernik!

— Bodaj tak Boga przy skonaniu pragnął, jak my dzisiaj tej odrobiny omasty pragniemy!

— Wagonami do Wiednia wywożą — psie krwi przeklecie, złodzieje!

— Jak kruki padlina, tak oni nas szarpią!

— Jak kruki!

Padły przekleństwa grube, ohydne... głodny, zziębnięty tłum buntował się, burzył — bezsilny jednak w swym gniewie, w swojej rozpacz.

— Z drogim!... Z drogim!... — zabrzmiało gromkie wołanie woźnicy w nowiutkiej liberyi, który kierował parą pięknych, rosnących karych rumaków, zaprzęzonych do eleganckiego powozu.

Na wygodnym miękkim siedzeniu rozpiął się otulony w kosztowne futra Wincenty Burczykiewicz, z uśmiechem zadowolenia spoglądając na swoją wystrojoną córkę Stefkę i siedzącego obok niej, wykwintnego, jak młody lord angielski, pięknego jak marzenie zakochanej dziewczyny, Kazimierza Rawicza.

Kawałki przymarzłego śniegu prysnęły z pod kopyt końskich, prosto w twarze skupionych na chodniku kobiet.

— Psia jego mać — Burczykiewicz!

— W powozie się rozbija!

— Patrzcie na tę jego córkę!... Same aksamity i brylanty! — zasyczała jedna z kobiet, chuda, zawięta o złym, zawistnym wyrazie za ciśniętych, wąskich ust.

Długo patrzeć nie mogli, bo powóz przemknął szybko i zniknął na zakręcie przecznicy.

Pani Dowgirdowa poszła dalej. Przyspieszyła kroku, bo zmierzchało się i mróz dawał się coraz mocniej we znaki.

Blisko już domu przypominała sobie, że nie ma wcale zapalek. Wstąpiła więc do pierwszego po drodze sklepu żydowskiego.

— Czy są zapalki?

— Są, dlaczego nie ma bić?... U mnie wszystko jest! — odparł tryumfująco właściciel sklepu, siwy żyd w jarmulce i załuszczonej chałacie.

— Proszę dwa pudełka.

Kupiec podał jej zapalki, kiedy jednak wymieniał cenę, kobieta aż zatrząsała się z oburzenia:

— Co?! Tyle?! Ależ to lichwa bezczelna! Zdzierstwo!

— Jakie dzierstwo?... Co za dzierstwo?... To cena jest!... Cena idzie w górę!

— Bo wy podbijacie, lichwiarze!... Na tych groszach wydartych z nas majątki milionowe robicie!

— Żeby moje wrogi mieli takie miliony, jak ja mam!

— O! Miałabym też komu wierzyć!

Żyd uśmiechnął się, nie obrażony bynajmniej, oparł się o ladę i poufałym tonem rzekł:

— Ja pani co powiem... ja pani całą prawdę powiem... bo pani jest osoba starsza, doświadczona, to pani zrozumie... Ja zrobił trochę pieniędzy przez tę wojnę... wszyscy robią, dlaczego ja bym miał być a dummer Kerl... I ja miał czterech córek na wydaniu... Nu, przed wojną to ja dla nich nie miał posagu... Une się starzały, nikt się z nimi nie chciał żenić, bo u nas bez posagu to się nikt nie żeni... A teraz to ja nie mam w domu ani jednej córki, ani żadne pieniądze!

— I musisz pan zbierać na nowo, dla wnuków! — zaśmiała się sucho pani Dowgirdowa.

— Nu, dlaczego nie?

— I dlatego obdzierasz klientów ze skóry... — Ja mam swoje straty... duże straty... ja mogę dołożyć jeszcze na te ciężkie czasy!

— Oj! Wy żydy najwięcej wiecie o ciężkich czasach!

Zgryziona wyszła ze sklepu. „Jak tu żyć dalej — trapiła się — kiedy nawet zapalki tak drożają“!

Przed bramą kamienicy Goldbaumów zobaczyła listonosza. Oczy jej błysnęły nadzieją:

— Ma pan co dla mnie?

Listonosz potrząsnął przecząco głową.

— Niema dzisiaj nic, proszę pani.

W sercu i w żrenicach matki Tadeusza zagasło płonące przez chwilę światło.

— Niech pan poszuka dobrze, mój drogi panie! — prosiła jeszcze.

— Napewno niema... Może jutro będzie! — pocieszał listonosz.

— Daj Boże!

(Ciąg dalszy nastąpi).